Nr. 45. Poznań, niedziela 8-go listopada 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. **Rękopisów drobnych niezwracamy.**

TREŚĆ.

Dwa komitety Poznańskie.

Trzy lata mijają od pamiętnej chwili, w której stronnictwo ludowe stanęło w Poznaniu do samodzielnej, umiejętnie zorganizowanej akcyi wyborczej. Echa tych walk burzliwych, zrywanych zebrań, szalonej agitacyi, elektryzujących haseł i ckliwych deklamacyi na temat solidarności narodowej przycichły w powodzi czasu i tylko raz po raz słabym dźwiękiem odzywały się w łamach dzienników. Wkrótce jednak zerwie się niewątpliwie znowu stara burza, wkrótce rozpoczną się dawne egzorcyzmy i namiętna gra nienawiści partyjnych.

Stoimy u progu wyborów do rady miejskiej i mamy przed sobą dwa obozy i dwa komitety: ład i porządek z jednej, ruch ludowy z drugiej strony, — komitet pozornie legalny, uświęcony aprobatą władzy centralnej na prawo, — komitet ruchu ludowego, produkt secesyi na lewo. W chwilach walki pamiętnej rozpatrywaliśmy trzeźwo i bezstronnie wszystkie przyczyny rozdwojenia, więc dziś nie mamy potrzeby powtarzać dziejów dwóch stronnictw i odmierzać słuszność tych żalów, które niegdyś brzmiały tak donośnie. Stwierdzamy tylko fakt dokonany, że miasto Poznań posiada dziś dwa komitety i dwa obozy, że żadna z partyi przeciwnych nie ma zamiaru abdykować i że najświeższa akcya wyborcza liczyć się musi z stosunkami istniejącemi. W dalszej konsekwencyi nasunąć się musi pytanie, czy w takich warunkach jednolita a wobec wspólnego wroga pożądana akcya wyborcza jest możliwą, i na jakiej podstawie budować należy porozumienie.

Rozpatrując stosunki niemieckiego obozu w prowincyach kresowych, przekonujemy się, że pojedyńcze grupy polityczne stanowią tu samodzielne organizmy z własnym zarządem i własnym programem, że jednak w chwilach rozstrzygających wrogie stronnictwa łączą się często w sprzymierzoną armię, ażeby złamać wspólnych nieprzyjaciół t. j. polskich kandydatów. Są zatem stronnictwa, są odrębne zarządy i odrębne programy, — mimo to walka przeciw Polakom odbywa się nierzadko w złączonym szeregu. I w polskim obozie rozpoczyna się zwolna rozwój podobnych stosunków, lubo klasie, która dotychczas kierowała społeczeństwem, zgodzić się trudno na uznanie stronnictw różnorodnych tam, gdzie przez długie lat dziesiątki dzierżyła władzę swoją niepodzielnie i dyktowała całemu społeczeństwu własną politykę. Dlatego to rozbrzmiewa jeszcze tak często i donośnie u nas bezkrytyczne słowo: „Nie ma stronnictw, jest tylko naród“, — słowo, które nietylko w krasomówczem „Kochajmy się“ jest ulubionym tematem, lecz nawet na politycznych zebraniach i w poważnych dziennikach kursu nie straciło. Na cóż jednak zdadzą się wszystkie duszące zapachy politycznej idylli, jeżeli stosunki z nieubłaganą konsekwencyą przewracają ten patryarchalny ustrój, który zdetronizowani ojcowie narodu w interesie koteryi bezskutecznie utrwalić pragną!

Trudno! W miarę politycznego rozwoju społeczeństwa stronnictwa coraz więcej się różniczkują i z dniem każdem zarysowują się silniej te partyjne organizmy, których powstanie powitano na bruku poznańskim oklepanym zarzutem zdrady narodowej. Dziś walka o wspólny byt narodowy toczyć się może jedynie w drodze kompromisu a kompromis wtedy dopiero z krainy iluzyi przejdzie w dziedzinę rzeczywistości, jeżeli ci, którzy dotychczas uważali się za jedynie uprawnionych przedstawicieli interesów narodowych, za jedynie legalnych sterników społeczeństwa, za generalnych reprezentantów polskości w prowincyach naszych, zechcą uznać się na równi z komitetami innych stronnictw za komitety partyjne. Stosunki poznańskie stanowią ku temu najlepszą ilustracyę. Dopóki t. zw. „Komitet wyborczy miasta Poznania“ nie zdecyduje się złożyć w antykwarjach starej zasady o intruzach ruchu ludowego, dopóki komitetu tego ruchu nie uzna za współrzędną władzę wyborczą, tak długo o politycznem przymierzu w walce z Niemcami mowy być nie może, tak długo grozi nam rozdwojenie w chwili wyborów. Dziś nie czas zastanawiać się nad tem, po czyjej stronie w pamiętnej godzinie secesyi była legalność, dziś należy uznać fakt dokonany — fakt, który prędzej czy później, z tego czy z owego powodu dokonać się musiał — i na podstawie istniejących stosunków szukać porozumienia. Dla zwolenników jednak starego hasła: „Precz z stronnictwami“, to jedno z bojów przebrzmiałych przypomnieć warto, że obecny „Komitet wyborczy miasta Poznania“ wybrany został na mocy listy „stronnictwa narodowego“ a tem samem posiada niewątpliwie charakter partyjny. To „stronnictwo narodowe“ jest dziełem śp. Franciszka Dobrowolskiego. Z jakich materyałów, z jakich motywów i na jakich podstawach programowych założył je zmarły redaktor „Dziennika Pozn.“, tego tłomaczyć nie będziemy, — dość, że komitet wyborczy miasta Poznania jest tak samo komitetem stronnictwa jak komitet ruchu ludowego. Dziś nie ma ogólnej władzy wyborczej, są tylko dwa komitety partyjne, — oto fakt, z którym się liczyć należy i który w imię dobra publicznego uznać trzeba koniecznie.

Zdaje się, że większość komitetu wyborczego miasta Poznania, z przewodniczącym p. dyrektorem Więckowskim na czele, zbliża się w przekonaniach swoich do wyżej wypowiedzianych opinii, bo z uznania godną roztropnością porzuciła dawną niedostępność swoją i pretensye do jedynie legalnej władzy, aby utorować drogę do kompromisu z stronnictwem ludowem. Nie chcemy odsłaniać przedwcześnie rezultatu dotychczasowych porozumień, — stwierdzamy tylko, że wejście na drogę kompromisową uważamy za objaw zdrowego zmysłu politycznego. Przekonani też jesteśmy, że p. dyrektor Więckowski wraz z trzeźwo myślącą większością komitetu nie ustąpi z drogi obranej, choćby ze strony ślepych fanatyków rzucano mu coraz więcej kamieni pod stopy. Wieść niesie, że kilku zagorzalców Kuryerowej barwy, którzy wobec ruchu ludowego mają zawsze jednę receptę: „Niechaj się podda na łaskę i niełaskę“, — wytężą wszystkie siły, aby nawiązane nici kompromisowe pozrywać i iść na przebój przeciw „polskim intruzom“(!) i niemieckim wrogom. Oto nowy dokument krótkowidztwa politycznego. Tak postępują zadąsane dzieci, lecz nigdy praktyczni politycy.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Strejk szlachecki.

W wyborach do galicyjskich rad powiatowych zdobyli chłopi w wielu okolicach większość mandatów. Rozdrażniło to do tego stopnia dawnych kierowników życia publicznego, tj. przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej, że odwracają się zupełnie od rad powiatowych i nawet w własnej kuryi wstrzymują się od głosowania. Z tego powodu zamieszcza „Słowo polskie" (Lwów) następujące, nader słuszne uwagi:

„Kiedy przed 30 laty zaprowadzono w Galicyi Rady powiatowe, chłopi w wielu powiatach z początku strejkowali. Nie wiedzieli, czem będą nowe instytucye, obawiali się ich, zastraszały ich możliwe koszta, tu i owdzie znalazł się jakiś nieproszony opiekun i podsycił jeszcze obawy — i lud usuwał się od wyborów, tak, że w wielu powiatach ukonstytuowanie Rady opóźniło się znacznie.

Po 30 latach obraz zmienia się radykalnie. Lud ciśnie się do Rad powiatowych, chce niemi owładnąć, posiąść w nich większość i rządy. W wielu powiatach udaje się to — mała własność nie wybrała tam ani jednego ze szlachty, ani jednego duchownego, nikogo z inteligencyi miejskiej — odebrano zaufanie tym, którzy mieli dotąd większość i władzę. Na to szlachta: „ja się tak nie bawię!" — i jak dzieciak, któremu odebrano zabawkę, zachmurzona siada w kącie. Tak zrobiła w pilzneńskiem — tak samo teraz w krośnieńskiem. Wielka własność uchyla się od głosowania — a w Krośnieńskiem pociąga także za sobą „najwyżej opodatkowanych z przemysłu i handlu, którzy w tym naftowym powiecie z tych samych składają się żywiołów, co wielka własność ziemska. Te Rady powiatowe, które były dotąd głównem, a tak naturalnem polem działania dla naszych ziemian, gdzie młode pokolenie szlachty wprawiało się do publicznej, krajowej posługi, gdzie była tak wyborna sposobność do udowodnienia, że się może i chce działać pożytecznie dla kraju i ludu — te Rady powiatowe miałyżby od razu ziemianom naszym tak się stać wstrętnemi, że odwracają się od nich i nawet z własnej kuryi wyboru od nich dokonać nie chcą? I dlaczego? Cóż się stało, że cała kurya dobrowolnie pozbywa się tak ważnego prawa obywatelskiego i nie staje do wyborów?

Nie stało się nic nie legalnego, nieprawnego. Lud skorzystał z praw swoich i wybrał „samych swoich". Czy wybrał dobrze — to się pokaże. Ale faktem jest, że to, co zrobił, było zupełnie legalnem. Więc ów s t r e j k s z l a c h e c k i niczem nawet u p o z o r o w a ć się nie da.

Umieliżcie być w większości — a nie potraficie być mniejszością i zachować całą swą godność? Chcecież utwierdzić opinię, że dla was Rady powiatowe nie były polem pracy krajowej, ale że wam tylko szło o władzę, a gdy się obawiacie, iż wam ona będzie odjętą, to wy w kąt, do bezowocnych skarg i próżniaczego pessymizmu?

Warstwa społeczna, czy grupa interesów, czy partya polityczna, objawia swą siłę i żywotność więcej w klęsce, niż w tryumfach. Wyparto was z małej własności, macie zawsze poważną liczebnie siłę w wielkiej własności ziemskiej, macie ją w Radzie pełnej, macie przez samą ustawę zapewniony głos w Wydziale powiatowym. Z tego wam teraz korzystać, jako pokonana przy wyborach mniejszość. Brać udział w pracy, wywierać wpływ waszą inteligencyą, znajomością spraw i stosunków, waszem doświadczeniem. Prostować mylne kierunki, gdy się objawią; udzielać rady, jeżeli niedoświadczeni potrzebować jej będą; ostrzegać przed błędami: pomocną podawać rękę, aby sprawy szły dobrze — oto zadanie inteligentnej mniejszości wobec mniej inteligentnej większości. Ale usunąć się, znaczy urazę za utraconą władzę mścić nie na przeciwnem a zwycięskiem stronnictwie, ale na sprawie p u b l i c z n e j — znaczy: n i e m i e ć w i a r y w s i e b i e s a m y c h, w siłę swej inteligencyi i obywatelskiego poczucia: znaczy zwątpić o sobie samych.

Co więcej: strejk taki jest zaostrzeniem i tak już bardzo niemiłych stosunków, zaognieniem już przez agitacyę rozbudzonych niechęci. Włościaństwo powie sobie: „panowie" gardzą nami, skoro nie chcą razem z nami zasiadać w takiej Radzie, w której my jesteśmy większością. Dobrzy im bylismy dla parady, jako rządzona mniejszość usuwają się od nas, gdy mamy być rządzącą większością. W ten sposób zatem szlachta usuwając się od wyborów, podsyca rozjątrzenie, które dałoby się w wysokim stopniu załagodzić, gdyby szlachta, choć w mniejszości, do Rady weszła i lojalnie w niej chciała pracować.

Jakiż zresztą przykład dajecie włościaństwu tem postępowaniem? Czy to jest dobra s z k o ł a p u b l i c z n e g o ż y c i a, gdy się od was nauczą włościanie, iż przegłosowana mniejszość chwytać się ma środka tak radykalnego, jak rozbijanie instytucyi, w której się jest mniejszością? Jeżeli naprawdę jesteście konserwatystami — to powinniście przecie rozumieć, że abstynencya, że wszelka próba dekompletowania, przeszkadzanie ukonstytuowania się itp., że to wszystko są środki niekonserwatywne, wichrzycielskie, przypominające dawne *liberum veto*.

Nie to jest droga i nie to rola dla tych, co się mienią „starszą bracią". Goić, godzić, przebaczać, jeśli potrzeba, — świecić przykładem pracy i ofiarności, ręki nie usuwać nigdy, radą wspierać i prostować, to wasza rola, to odpowiedź na liczne niesprawiedliwe zarzuty, to odparcie niesłusznych napaści, to środek jedyny do odzyskania utraconego zaufania. Gniewnem uchyleniem się od wspólnej pracy zwiększycie tylko tę przepaść, jaką niebaczne dłonie między wami a ludem wykopać usiłują".

— skl.

Marya Napieralska (Simara.)

Z za kulis życia.

SYLWETKA.[1])

Czuła się nieszczęśliwą, bo nie była w stanie wydać własnym kosztem swojej pierwszej książki. Na podstawie utworów, rozrzuconych po czasopismach, źle płatnych, wyłudzanych, przyznawano jej talent rzeczywisty: wyjawić jednak tej prawdy głośno, poświadczyć swem nazwiskiem na tomiku jej utworów obawiał się każdy wydawca. „Autorka tak młoda; może to kwiat niezdolny przeżyć jutra: po co więc podtrzymywać go tak skwapliwie?" — rozumowano ostrożnie.

Ona jednak z zaciętością drażnionej woli postanowiła bądź co bądź szukać sposobu; gdy nie znająca stosunków zależności od mężczyzn, którzy z prostego aktu podania ręki królewską łaskę czynić umieją, stanęła przed wskazanym jej właścicielem drukarni, przystępnym dla początkujących sił literackich, — miała w oczach pełno blasków odważnej pionierki.

Drukarz z uwagą taksatora wdzięków spojrzał na dziewczynę... Wpierw, niż kształty szczupłe, niż postać drobna, uderzyło oczy mężczyzny coś, co biło z rysów twarzy zapowiedzią siły, niespożytego ognia życia. Mężczyzna dał w myśli sile tej miano, które sprzyjać mogło ukrytym przed dziewczyną pragnieniom... Tymczasem mówi jej, że za bezcen książkę wydrukuje, niech tylko zechce przyjść do niego powtórnie, gdyż w tej chwili, jak wskazuje jego ubiór galowy, musi jechać na miasto w ważnej sprawie. Kareta właśnie czeka; z przyjemnością gotów odwieść literatkę do domu.

— Ach! kareta na poddasze. Zbyt rażący kontrast! — żegna go zaproszona z wesołością i swobodą młodości, upajającej się promykiem nadziei.

Przy powtórnem jednak spotkaniu następuje coś — nad program. Z czemże zwraca się do niej ta siwa zorana wiekiem głowa, czem drży ten korpus olbrzymi, noszący ślady niepospolitej niegdyś urody, pochylający się teraz z lekka, a przeszywany niby prądem galwanicznym? Drobnostki żąda, on, który przecież da poznać światu nową autorkę, żąda tylko jednego uśmiechu jej rozkwitającej kobiecości... jednej chwili biernego spokoju, posłuszeństwa... Nie upomni się potem nigdy o zwrot kosztów wydawnictwa, bo zresztą zkądżeby ona wzięła pieniędzy w razie niepowodzenia książki. Niechże się ona zastanowi, ile dla niej poświęca. W najgorszym nawet wypadku straty materyalnej, jeszcze, przez sam fakt wydania książki ona będzie stanowiła stronę wygrywającą. Czekać na wdzięczność z jej strony on nie może: dla niego nie ma już w zapasie pożądań drugiego jutra; życie pozwala mu zaledwie cieszyć się chwilą.

Dotyka ją nagle chłód grobu, wiejący od starca. Pod zszarzanym płaszczykiem faluje pierś, na której zwijał się wąż wstrętnej pokusy...

— Pani — szeptał były lew salonów i orgii — waha się, podczas gdy niejedna z sióstr płci twojej poświęca się... w imię blasku kolczyków brylantowych, w imię satysfakcyi posiadania powozu na gumowych kołach, — co mówię! — często piany szampana, spływające przy kolacyi w odzielnym gabinecie... zatapiają skałę hardości niewieściej... Czyż sława nie znaczy więcej nad klejnoty, nad miękkość kół gumowych, nad słodycz renomowanej marki wina szampańskiego?

— Sofizmaty! — wydzierało się z zaciśniętego goryczą gardła autorki. — Nie jestem z tamtych, dających rozkosz w miarę zapłaty. Literatura to kapłaństwo, do którego nie przystępuje się z dłońmi zbrukanemi błotem niegodnego, występnego handlu!

Sardoniczny uśmiech drukarza odpowiadał: „Z jakiej części świata przybywa ta dzika dziewczyna, biorąca rzeczy tak poważnie, nie dorosła do pojęcia miłości płatnej."

— Ptaszku mój — syczał starzec, przeginając postać podobną do wspaniałej ruiny,

[1]) Autorkę tego utworu pochowano przed dwoma tygodniami na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Charakterystykę tak młodo zgasłego talentu podajemy w osobnym artykule. Tu zamieszczamy jeden z ostatnich utworów Simary, zawierający znamienne cechy jej indywidualizmu autorskiego. (Przyp. Redakcyi.)

LITERATURA I SZTUKA.

Simara.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Poczta między zwykłemi listami przyniosła mi pakiecik z rękopisem. Była to nowela. Charakter kaligrafii ostry, kańciaty, podpis „Maryś N.“ a z treści ziało płomiennym erotyzmem. Podejrzywałem mistyfikacyę, mężczyznę ukrywającego się pod inicyałami kobiety. Ale niektóre części utworu jakby odlane z jednej sztuki szlachetnego bronzu, znamionowały niepospolity talent, a to podnieciło moją żyłkę redaktorską. Noweli nie mogłem drukować, ale autorce należało odpowiedzieć. Zawiązała się korespondencya a w parę miesięcy wezwany zostałem bilecikiem, abym pannę Maryę N. odwiedził w interesie literackim w NN. hotelu Polskiego, gdzie, przybywszy do Warszawy, stoi z rodziną. Zastałem pannę, bardzo starannie wizytowo strojną, ufryzowaną, o wyrazie twarzy inteligentnym i płomiennem oku. Przyjęła mię siedząc, wyprostowana i nieco sztuczna a po półgodzinnej, banalnej jak wszystkie pierwsze, rozmowie pożegnała, również nie poruszając się z miejsca. Szczegół ten uderzył mię i zdziwił, bo to było niezwykłem w naszych uprzejmością a nawet przesadą przesiąkniętych stosunkach towarzyskich. Dopiero później pojąłem przyczynę tego drobnego faktu. Dziewczę — bo wiekiem nie wyszła jeszcze z tego okresu — było ułomne, bardzo ułomne a obcemu nie chciało dać poznać tego. Teraz zrozumiałem, niezwykły płomień w jej nowelach. W tej przyjemnej, małej główce paliła się wyobraźnia bez ujścia. Tłukła się jak ptaszę w niewoli o szczeble klatki... Gdyby jedną chwilę pobujać swobodnie, gdyby jeden wzlot ku błękitom szczęścia, ptaszę by się uspokoiło, wróciło na grzędę snuć dni codzienne... A tam za szczeblami roztacza się świat ułud i ponęt otwarty dla wszystkich, prócz niej... Jej niewolno nic, jej wszystko zakazane, niedostępne. Natura położyła na niej swą pieczęć tajemniczą. Zostawiła jej wszystko, miłość, siły, wszystkie pożądania — prócz możności ich zaspokojenia. Czy to nie tragiczne, czy w tem nie leży źródło owych płomienistych wylewów pesymizmu, jakiego się dopatrują krytycy w jej utworach. Tak, w tej strzaskanej stygmatem kalectwa ciała, duszy, szamoczą się wszystkie potęgi odwiecznej kobiecości a szamoczą między końcem stalówki i zimnem łonem papieru. „Wy mężczyźni“! rzuca ona w tym tytule wiązanki swych utworów cały program. Jestto protest upośledzonej, bezbronnej, oddanej na pastwę beznadziejną kobiety, protest istoty czułej i wrażliwej przeciwko tyranii losu, przeciwko tyranii męzkiej, władnej, potężnej siłą. Na nic się nie zdadzą wszystkie dary umysłu i serca, na nic potęga umysłu i uczucia, skoro się nie jest prostą i zdrową. A ci mężczyźni! stają w jej wyobraźni tacy piękni, tacy możni duchowo i cieleśnie, tacy namiętni i silni jak szatani poetów i malarzy. Miłość to raj zakazany — ale głupi, kto nie przestąpi jego progu, kto nieuszczknie wszystkich owoców drzewa rozkoszy, kto zostawi choć jedną kropelkę w kielichu szczęścia, jakiem się pieni życie. Świat się może zawalić, ale wprzód trzeba skosztować tego, co jest esencyą jego bytu. Na nieszczęście, rzeczywistość przeciwstawia się tym marom wyobraźni, chwile szczęścia są krótkie, przelotne, troski i zmartwienia zapełniają długie godziny, życie jest czarną kałużą, w której się rzadko przegląda jasny promień słońca, cierpienie nie jest pięknem, jest ono jak zasmarkana chustka, według dosadnego wyrażenia Gabryeli, cuchnącem i niemiłem; fałsz uczuć, fałsz czynów towarzyszą jak cień każdemu porywowi, rozpacz jest uczuciem, które ciągle trapi serce i przejada je powoli... mrok smutku roztacza swe skrzydła i pada jak krepa żałobna na płomienną wyobraźnię autorki. Tworzy ona w takiem pasowaniu się rozdrażnienia i niemocy, wzlotów ku wyżynom i upadków beznadziejnych. Przy takiem szamotaniu się nie ma naturalnie mowy o równowadze duchowej, tak koniecznej do tworzenia dzieł literackich, mających głębszą wartość. Żadne pierwiastki artystyczne nie mogą się ułożyć harmonijnie wśród burzy, huczącej między zwątpieniem a nadzieją. To też Simara — taki przyjęła pseudonim — choć tworzy dużo, pisze pracowicie, wydaje płody poronione, niecałkowite, w których łatwo doszukać się świetnych jakby z pantelickiego marmuru wykutych części, obok bezkształtnych i przypadkowo nagromadzonych okruchów. Drukuje Simara jeszcze mniej, co się tłomaczy konwencyonalną naturą naszej prasy literackiej, niechętnej każdemu silniejszemu objawowi osobistości autorskiej. Czemuż nie pisała utworów gładkich i przyjemnych! Była pesymistką, roztacza się w jej nowelach świat mroków i szkarad, obrazowała złe strony życia... Dziwna rzecz, gdy redakcye odrzucały jej prace, krytyka obchodziła się z niemi dość względnie, nawet ta zaściankowa krytyka brukowych świstków, znajdowała dla nich słowa uznania i ciepłą ocenę talentu. Tym razem mimowolną czy dobrowolną okazali krytycy szlachetność, była to bowiem jedyna radość tej skołatanej duszy, żądnej uśmiechu szczęścia i pogody. Niemożna im dość wdzięcznym być za to. Tem niemniej zarzuty bezwzględnego pesymizmu względem utworów Simary, nie są słuszne. Po nad tym światem zamętu skłębionym w jej nowelach, unosi się litość a często i rezygnacya. Jakiż to piękny obraz tego starego ojca, który w ciszy wiejskiego domu, osamotniony, z blasków kominkowego płomienia wysnuwa smutną historyę swej zbłąkanej córki i przywołuje ją modlitwą przebaczenia... Również i to jest niewątpliwem, że te wszystkie rozdzierające sceny, te cięcia jakby ostrzem puginału, nie są wystawiane na pokaz bezmyślnej gawiedzi, nie są robione dla zajęcia czytelnika, ale są to obnażenia ran serdecznych, narośli, które ból, upokorzenie, nędza na ciele ludzkiej duszy wytwarzają. Pod koniec swej krótkiej i bolesnej egzystencyi, Simara postawiła sobie szersze zadanie, napisała powieść psychologiczno-obyczajową. Był to pierwszy debiut

---

— ptaszku śnieżnopióry, czyż ja wymagam ofiary lat całych albo miesięcy, czy komedyi jakiegokolwiek zachwytu z twej strony?...

Ona, biedny listek rzucony w toń burzliwą, czuje się bez ratunku w obec tego człowieka, urągającego szyderczo sztuce, pragnącej się obchodzić bez protektora; — czuje się jak gdyby szarpana przez te palce krogulczo zgięte, dzwoniące pieniędzmi.

Ileż wart uścisk dwojga ludzi, wzajemnie się pragnących! Życie przetwarza te uściski w narzędzie targu. Warunki popychają na tę drogę dziewczynę, lecz wstręt ją dławi i bezwiednie zwraca się ku drzwiom, do których odprowadza ją ironiczny głos mężczyzny: „Idź ty, ty odrzucające młode dziecko, idź na poszukiwanie wspaniałomyślnego, któryby cię podparł przez szacunek dla talentu. Ja ci wrócić pozwalam, jestem na usługi.“

Na ulicach snuł się zmrok jesiennego wieczoru. W haosie ruchu, jak w kalejdoskopie, mknęły masami różnolite obrazy doli ludzkich, ścierały się sfery, światy, szczęście i nieszczęście. W potokach gazowego światła twarze jaśniały jak karty, z których niejedne były łatwe do odczytania. Niejedna z nich oblokła się wyrazem ciekawości przy zetknięciu się z oczami dziewczyny, pociągającemi magnetycznie posępnym ogniem wyraźnej rozpaczy. Oczy te dążyły uparcie za postaciami kobiet, pozwalających się domyślać sfery, w której „poświęcają się“ w handlu za cenę dających zapomnienie upojeń haszyszowych... Daremnie w twarzach wyznawczyń tego kultu biedna dziewczyna szukała śladu jakiejkolwiek oznaki niepokoju, wyrazu piętnującego choć trochę to, czego ona doznawała w tej chwili. Wszystkie te ptaki, zwiedzające kosztowne klatki, miały pozór zadowolenia, spokoju, prawie błogości. Niektóre z nich oglądały się leniwie za nową zdobyczą...

I choć odepchnęła frymarczącego starca, wróciła do niego po kilku dniach. Z czołem ranionem kolcami upokorzeń, łykając łzy, przyszła tak, jak niektórzy szli na stos, lub pod miecz kata: z rezygnacyą istoty nawpół przytomnej...

* * *

Po wydaniu książki dosięgły autorkę pierwsze listki sławy. Odkryto w młodej literatce duszę gorącą obok zdolności do analizy bystrej a zimnej, bogaty zdrój natchnienia wyciskającego piętno na tem, co umiało pociągnąć ku sobie tę wrażliwość subtelną, polot wyobraźni, dar słowa. Odkryto wszystko, co składać się może na talent, dający już w tej chwili nadspodziewanie wiele, a obiecujący nadal w miarę pracy i nieodzownych studyów i warunków.

To wszystko jednak nie przeszkodziło, że w rok później, autorka nie mogła znów znaleźć nabywcy na nowy rękopis. Wielkie firmy znów przystęp do siebie dawały za cenę wyzysku, tym większego, im były bogatsze.

„Taka początkująca mówiono między sobą, — odda za byle co.“ Nikt też nie myślał o tem, że ta początkująca zamęcza się, zmuszona warunkami rodzinnemi nadmiernie pracować i całkiem niezgodnie z jej zamiłowaniem do pióra, z pragnieniem literackiego wykształcenia. Teraz jednak nie poszła szukać rady ani pomocy poza księgarniami wydawniczemi. Ludzie, którzy wiele mówili o cieple swych serc, o udzielaniu go tym warstwom, gdzie w duszach jest smutno, chłodno i ciemno, ludzie, bujający w sferze podniosłych pragnień, szerokich idei — własnoręcznie i niejedokrotnie obłożyli lodem jej piersi.

Świat z zamiłowaniem nowości zajął się piórem kobiecem, zupełnie oryginalnem, nieco smutnem, przypominającem uśmiechnięte oczy z poza łez, blaski słońca z za chmur ciemnych i ciężkich. Świat się zajął, lecz sarkał na śmiałość autorki zdzierającej osłonę, stanowiącą w życiu dla ludzi wygodną maskę lub klosz ochronny, aby rychło o niej zapomniał.

Jednego dnia stanęło przed nią groźne widmo nędzy. Wypadło to w chwili, gdy na ustach, purpurą młodej krwi nabiegłych, zrywa się pragnienie o jedną bodaj kroplę z puharu życia słodyczy. Przyszło to jakby senne zjawisko, niepokojące ciemnię nocy. Ohyda niedostatku ssącego jak wampir, zsyłała niejako pragnieniem tem ostrzeżenie, radę ucieczki przed rozpaczą, która wybuchem swoim znosi, gruchocze wszystko, i jeszcze przyszłość mogłaby dać w udziale. W dziewczynie męczonej długo bezowocną walką o polepszenie bytu, zakołatał instynkt obrony, zmorzenia hydry za jakąbądź cenę.

w tym kierunku. „Na falach życia“ nie jest jednak powieścią ze stosunków fabrycznych, jak głoszą pisma, w opowiadanie wplata się całe społeczeństwo i potrącone są silnie stosunki żydowskie, tak jaskrawo przeplatające ostatniemi czasy tkankę naszego żywota.

Po pierwszej wizycie straciłem Simarę z oczu; obracaliśmy się w innych kołach towarzyskich, mało o niej wiedziałem, w ogóle widziałem ją potem dwa lub trzy razy. Wiem, że nie była szczęśliwą, bo nią być nie mogła. Zgasła nagle, nie ujrzawszy swego najlepszego dzieła w druku. Jest to obszerna powieść i przy dzisiejszym nastroju literackim, oraz wydawniczym, niemożna przewidzieć, kiedy się ukaże światu. Byłaby jednak szkoda, aby ten utwor przepadł w niepamięci, zaznacza on nietylko psychiczny moment w twórczości autorki, ale i chwilę daną w naszem społeczeństwie, a jako powieść nie jest mniej sensacyjnym, niż inne w takiej obfitości przekładane płody cudzoziemskiej beletrystyki. Oto jest wszystko, co w mojej pamięci zarysowało się o Simarze. Był to blady płomyk, który z gasł brutalną dłonią losu zduszony. Blizej ją znający mogliby wysnuć z tego biednego życia cały dramat, ja miałem obowiązek odchylenia zasłony o tyle, o ile to było potrzebnem do wytłomaczenia jej utworów. W morzu literackiem utoną one jak tonie tyle niedośpiewanych pieśni, niedomówionych słów, niewcielonych marzeń. Ale jest dość, aby z nich uwić wianek pamięci po nad krzyżykiem u jej grobu.

N.

Dogmaty i ludzie.

Samo zestawienie tych dwóch pojęć: dogmaty i ludzie — tchnie pewnym czarem kontrastu; bo jeśli w człowieku rzuca się w oczy przedewszystkiem zmienność, to w dogmacie nieruchomość, spokój marmuru. Człowiek jest zmienny i w swych przekonaniach i w swych uczuciach, choćby się zapierał tego; dogmat jest zawsze jednakowy: inaczej by nie był dogmatem.

Wobec dogmatu człowiek zająć może zawsze stanowisko odpowiadające swej indywidualności. Pomiędzy wierzącym a niewierzącym jest jeszcze wiele odcieni: dla jednych jest dogmat potrzebą własnego ducha, dla innych potrzebą społecznej organizacyi; a tak więc nosząc na na ustach coraz to nowe hasła, w obliczu dogmatu podobni są ludzie do dzieci, które chcą przekrzyczeć echo.

Jakim jest stosunek ducha epoki współczesnej do dogmatów?

Walka z echem rozlega się najgłośniej w literaturze pięknej, bo tam występują na widownię filozofowie, którzy mieli nieszczęście przyjść na świat wcześniej od dowodów tezy, której są apostołami. Nie trudno scharakteryzować różnorodność stanowiska, które duch czasu zajmuje wobec dogmatu. Piśmiennictwo francuskie typowem jest w tym względzie.

Dla Verlaine'a, którego formacya duchowa najdoskonalszym jest może wyrazem ścierających się dziś prądów, — dogmat jest niczem więcej, jak potrzebą ducha, zaspokojeniem wewnętrznego pragnienia, skarbnicą form, w które jednostka wkłada sumę pewnych swych wzruszeń. Własna wewnętrzna potrzeba przyprowadzić każdego musi do uznania pewnych dogmatów. Zadanie ich zaczyna się i kończy w obrębie jednej ludzkiej duszy. Do społecznych celów nadawać się nie mogą, bo są zespolone z jednostką, jak skutek z przyczyną.

To z umysłu nieliczące się ze społeczeństwem stanowisko Verlaine'a wobec wiary znajduje zaprzeczenie w dedukcyjnie wyrozumowanym programie działalności społecznej dogmatów, który nakreślony został w „Rome“ Zoli.

Genezę stosunku Verlaine'a do dogmatów łatwo zrozumieć: nikomu nie są obce te niewyrozumowane odruchy duszy, które przybierają u niego postać wiary, i każden czuje, że jej sprężyną są drgnienia duszy, których nie można zmierzyć ołówkiem i cyrklem w ręku. Również łatwo uprzytomnić sobie czynniki, które podyktowały tendencyę „Rome“. O ile u Verlaine'a, jako u poety, który pisze przedewszystkiem dla siebie, na pierwszym planie pozostała własna indywidualność, o tyle u Zoli, jako pisarza, który ma na względzie publiczność, rolę decydującą odegrało hasło, które rozlega się dziś na wszystkich łanach życia współczesnego. Zręczny obserwator zastosował je do dogmatów wiary i taką mu nadał formę: Społeczeństwo chce mieć od wiary korzyści społeczne.

Czy Zola w zadawalniający dla estetyka sposób wywiązał się z tego zadania, inna to kwestya. Dzieło „Rome“ akcentując społeczna, i tylko społeczną wartość dogmatów posiada wybitną symptomatyczną cechę w każdym razie.

Niezależne od obydwóch stanowisko zajął Bourget. Mierzy on wiarę ilością estetycznych wrażeń, krórych mu ona dostarcza. Wobec jego artystycznej duszy większą ma wagę to, że wiara natchnęła Rafaela do Madonny Sykstyńskiej, że stworzyła światy całe, pełne arcydzieł sztuki, niż to, że była ocknieniem dla zbłąkanej duszy lub osią społecznej reformatorskiej akcyi.

W psalmach uderza go poezya więcej niż wiara, a raczej widzi w wierze — poezyę. Odczuwa on wiarę inną cząstką swej duszy niż Verlaine'a, choć obaj czują równie głęboko.

Wobec tych różnobrzmiących haseł, jakiemuż głosowi odpowie dogmat przyjaznem echem?

Wszechstronny w swej jednolitości, kryje on zarówno piękno jak reformę społeczną, jak balsam na rany dusz osamotnionych.

Jak wierne echo, wszystkim służy jednakowo. Ono się nie zmienia, lecz ludzie coraz to innego ducha w nie kładą: a gdy odbiwszy się o szczyty, hasło ich ku nim się wraca, własnego nie poznają głosu i czołem biją, jak przed rozkazem z góry. Tworzą sobie dogmaty, aby im módz się kłaniać.

Berlin.

Kazimierz Rakowski.

Młode życie zagrało chórem strun bliskich zerwania, ostatniem wołaniem o oddźwięk jakiś, o siłę, którąby ogarnęła łagodnie, kojąco cały proces tworzenia, zmuszonego szarpać się w bezustannej trosce o jutro.

Do takiego doszedłszy stanu zapytała po raz pierwszy, czy wrażenie przez nią doznane rok temu przy znajomości ze starym drukarzem, słusznie zwróciło się przeciw niemu odrazą, oburzeniem? Czemże on bowiem zawinił wobec niej? Żądzą zmysłową; lecz czy żądze, pragnienia dają się obejmować łańcuchem takiej kontroli, któraby posiadała moc unicestwienia ich? Istnieją wprawdzie różnice pragnień, rozliczne ich gatunki, lecz cóż kto winien, gdy właśnie taki a nie inny gatunek obrał sobie w nim miejsce i stworzony, istniejący raz, toczyć się musi w całym biegu, jaki mu wyznaczają siły, w skład jego wchodzące. Ona sama wiedziała, czuła dziś więcej, niż przed rokiem, czem jest ogień pragnienia, które zostało już spojone z osnową życia. Dla tego dziś przebaczała w myśli temu człowiekowi, który zostawił jej, prócz ciężkiego wspomnienia chwili z nim przeżytej, to do czego tak wielką wagę przywiązywała w życiu: możność postąpienia na obranej drodze. Wyzyskał jej położenie? Ależ inni uczyniliby to samo, do tego z warunkiem podziału uczuć i niewolnictwa na czas nieograniczony, aż do chwili przejścia ich kaprysom. Dziś — za tamtym człowiekiem, który od niedawna legł w mogile, za nim odsuniętym z milczącą dumą — ogarniał ją żal, jak za kimś, kto nie był jeszcze dla niej tak złym, tak brutalnym, tak okrutnym, jak byli inni.

Wraz z żalem wstępowała w nią żądza doznania czegoś, coby nie było samą przykrością. O! na ziemi chodzi przecież jakieś szczęście, jakaś rozkosz, jakieś objęcia losu, słodsze od tych, w jakich ona spoczywa. Wie o tem i zwolna podnosi się w niej bunt. Jestże ona ze spiżu wykutą, czyż otrzymała monopol na tak hartowną powłokę, że aż nieczułą, na umysł poddający się biernie wpływom przeciwnym, jego nieodzownym warunkom. Potrzebuje pieniędzy, marnych pieniędzy, tej drobnostki podniesionej do potęgi. Potrzebuje pieniędzy... W dwóch tych słowach zawarta jest cała tragedya, rozgrywająca się w tysiącznych odmianach na całym świecie...

I znów w jeden dżdżysty, jesienny i chłodny wieczór, źle ubrana, z mizerną twarzą, z oczyma pałającemi wewnątrzną gorączką, znalazła się na ulicy, z niewyraźnem postanowieniem zakończenia całej biedy... W oddalonej, pustej, ciemnej alei Saskiego ogrodu nieprzytomnie prawie rzuciła się na ławkę, przepełniona rozterką uczuć w obec zbliżającej się chwili wyboru dróg. Patrzyła w ciemnię nocy, znajdując w niej dziwną harmonię ze swoim stanem wewnętrznym. W miarę wzmagania się walki coraz chłodniejszy dreszcz ścinał jej serce, w którego krew młodą wsączyły się już krople zimnego jadu doświadczeń, zwątpień i bólu.

Co uczyni? — Nie ma o tem pojęcia. Czuje tylko, że nic dla niej nie będzie trudnem, ani niemożliwem, tak jak mogło być jeszcze rok temu. Gdy wyjdzie z ukrycia ciemnej alei między tłum, zalewający ulice, musi pójść bez wahania, z gotowością przyjęcia wszystkiego, cobądź przyniosłaby ta fala, wabiąc ku sobie choćby złudzeniem zadowolenia, odpoczynku...

Na tę chwilę musi odrzucić okrywający ją szczelnie płaszcz dumy, tej dumy, czerpanej z poczucia niezależności. Aż dotąd była głuchą na szepty pokuszeń zmysłowych, które nie były zdolne wstrząsnąć dreszczem pożądania niewinnych, czystych jej ramion... Wierzyła, że warto wyciągnąć ręce tylko wówczas, gdy życie uśmiechnie się obietnicą zadośćuczynienia naturalnym, szczerym, na wzajemności opartym uczuciom i stosunkom, nie mającym nic wspólnego z wyrachowaniem.

— Czy niezbyt naiwną byłam? — pyta się teraz sama siebie. — Wszak życie trzeba brać takiem, jakiem jest! A gdy ono wypada tak, że każe wyzyskać, a nawet wyszukiwać i skłonić do służenia moim celom te prądy i instynkty ludzkich piersi, które dotychczas omijam...

Co byłoby jednak — szepnęła do siebie z pogardliwą miną, wchodząc na trotuar pełen światła i gwaru — co byłoby przytem, gdybym się okazała... za brzydką za marną, niezręczną?... Co byłoby?....

K O N I E C.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Nasza praktyczność.

W jednym z najświeższych numerów „Głosu“ warszawskiego zastanawia się felietonista tego organu nad istotą praktyczności krzewionej w społeczeństwie naszem. Myśli te zgadzają się w głównej swej treści z temi poglądami, które niejednokrotnie wysyłaliśmy pod adresem niskiego utylitaryzmu, panoszącego się wśród młodszej i starszej inteligencyi Księstwa.

Oto wyjątek z dłuższego artykułu:

„Praktyczność u nas — to brak zasad wyższych. Człowiek praktyczny — tak samo jak pismo praktyczne — to znaczy człowiek albo pismo bez zasad. Tytułem ustępstwa mówimy czasem, że można mieć zasady, ale d l a s i e b i e, szczytem jednak niepraktyczności jest czynne występowanie w ich obronie. Naprzód do wykonywania tej czynności n i e m a m y m i e j s c a.

— Świętą miał słuszność, słyszymy o takim obrońcy, ale jakżeż można było we w ł a s n y m d o m u tak na tamtego powiedzieć.

Nazajutrz wyrok brzmi inaczej.

— Wie pan, zgodziłbym się z nim nawet, ale czyż podobna w o b c y m d o m u tak występować.

Na trzeci dzień znowu zmiana.

— Ludzie, bójcież się wy Boga! Wszystko to pięknie, ale któż się porywa na to w m i e j s c u p u b l i c z n e m?

Albo jeszcze.

— Racya panie, racya, ależ w j e g o w ł a s n y m domu tak go zekpać?

Powtóre, nie mamy ludzi odpowiedniej zamożności i stanowiska. Ująć się za słabszym, narazić się możniejszemu jak to bywa w książeczkach dydaktycznych, któż to zrobi?

— Panie drogi, zlituj się — jęczy biedak trzysturublowy — ja mam żonę, pięcioro dzieci, pensyjka — niema na co patrzeć — bój się pan Jezusa Ukrzyżowanego, anuż co na mnie? bo wtedy z torbami pójdziemy, czy jak?...

— Hm... Niech tylko łaskawy pan posłucha mnie cierpliwie. Ja, widzi pan, sobie zawdzięczam wiele, ale nie mało też ludziom. Dzisiaj, jak pan szanowny sam wie zapewne, dochody moje przenoszą 12,000 rs., stosunki mam ogromne, koligacye, mieszkanie — jedno z lepszych w mieście.... rozumie kochany pan, że zawiele miałbym do stracenia; to mogą zrobić — daruje pan — hołysze.,.

— Proszę pana, — ja panu powiem otwarcie. G d y b y m ja był potentat, pan całą gębą, tobym machnął ręką: stracić — wielkie rzeczy, no to stracę, mam się na czem odbijać; g d y b y m ja znowuż był biedak, charlak taki, co to panie Boże odpuść, co nie wiele albo nic niema do stracenia — no to jeszcze! Ale ja panie jestem sobie średniak, ja sobie swoją drogą idę, ja, panie, dalibóg nie mogę...

Po pierwszej odpowiedzi pomyślisz sobie, czytelniku: Niech go tam! i tak ma dosyć! Po drugiej: psia kość, istotnie za dużoby stracił! Po trzeciej nic już nie myślisz, tylko się przekonywasz, że jak nie mieliśmy takiego m i e j s c a, na którem można byłoby wygłaszać zasady albo ich bronić, tak nie mamy też odpowiedniej skali zamożności....

Nie powinniśmy ani pomawiać siebie o brak praktyczności, ani zachęcać do jej zaniedbania. Należy tylko otwierać ludziom oczy na to, czem jest praktyczność naprawdę. Na zakończenie podam taką notatkę dydaktyczną ze wspomnień osobistych.

Po cienistej alei parku przechadzałem się z pewną młodą mężatką, rozmawiając o innej mężatce, a raczej o jej dążnościach bardzo niepraktycznych.

— Ja, bo panie, rzekła interlokutorka moja, jestem przedewszystkiem praktyczną i w tym samym kierunku prowadzę mego Jasia. Nieprawdaż, panie, że to grunt? Jasiem, a zarazem jej mężem, był ciężko zapracowany wół naszej palestry.

Delikatnie i ostrożnie, jak tego wymagało miejsce wystawione na widok publiczny, postanowiłem dokonać wiwisekcyi na mojej pani w nadziei, że postępy naszej homeopatyi pozwolą mi później przywołać ją do życia. W żołądku znalazłem trochę krup, parę kąsków mięsa i kartofle — dużo kartofli. W głowie, na kołkach marzenia rozpięta była prześliczna suknia balowa, a obok wisiały papiloty nawinięte na zżółkłe i bardzo sterane kartki z „Poddaństwa Kobiet“ Milla. W sercu tej pani leżał Jaś, śpiący nad jakimś foljałem adwokackim i stała malusienka lalka — podobizna jej synka — w postaci Milusińskiego, przybrana w dużą czapę bardzo wysokiego przedstawiciela sztuki inżynierskiej. Aby czapsko mogło utrzymać się na małej główce, podłożono tam kilka kawałków ilustracyi z portretami Washingtona i jego towarzyszy.

Przywoławszy ją do życia, przemówiłem w te słowa.

„Proszę pani, praktyczność jest to umiejętność zaspakajania w życiu wszystkich swych pragnień — bez szkody dla innych i z pożytkiem dla siebie, jak mówią jedni, albo z pożytkiem dla innych i bez szkody dla siebie, jak się wyrażają drudzy. Uznaje pani, że człowiek doświadcza potrzeb bardzo wielu: nietylko niższych, od których zaspokojenia zależy jego istnienie, ale i wyższych, których zadowolenie pozwala mu się rozwijać i doznawać już nie prostego uczucia spokoju albo nasycenia, ale najwyższego szczęścia. Cóż się jednak okazuje? Oto, myśmy przywykli nazywać ludźmi praktycznymi nie tych, którzy potrafią zaspokoić wszystkie potrzeby, ale takich, co, nakazawszy milczenie wyższym, oszukają jako tako niższe i po życiu pełnem pracy, pogwałceń własnego serca, krzywd własnego rozumu, ran własnego honoru, wyprowadzą w końcu potomstwo swe na taką samą drogę. Najstraszniejszą niepraktycznością naszego wychowania jest to, że praktyczności naszej stawiamy zadania tak błahe, cele tak poziome. Z takich „praktyków“ tworzy się później deptany przez wszystkich drobiazg życiowy, czasem nawet zastęp dobrze wprawionych fagasów — fagasów medycyny, agronomów, inżynieryi, publicystyki — ale nigdy władzców zawodu i panów położenia“.

Z estrady i sceny.

(Pan Dyrektor. Komedya w 3 aktach p. M. Bisson i F. Carré. — Mazepa.)

W ubiegłą sobotę było bardzo wesoło w teatrze, lubo śmiano się głównie z słoniny i papryki sztuki, a pianka szampańska mijała bez wrażenia. Uderzało to tem więcej, że sobota teatralna to dzień inteligencyi poznańskiej, — wielki dzień małego światа.

Lecz prawda, chciałem pisać o „Panu Dyrektorze“. Jest nim niejaki pan de la Marre, szef biura ministeryalnego, przełożony całego sztabu urzędników, — surowy dla tych, którzy żon wcale nie mają, albo mają brzydkie, słodki jak sacharyna dla wszystkich, których los obdarzył siostrą, małżonką lub kuzynką nieszpetną i w dodatku „uczynną“ Znają podwładni słabość dyrektora i chętnie przymrużają oczy, gdy ich lepsze połowy znikają za drzwiami pana dyrektora, a tylko stary sługa, purytanin straszny, odwraca w takich chwilach tyłem do ściany biust republiki francuskiej i mrucząc, zbiera następnie szpilki rozsiane na ottomanie.

W gronie podwładnych znajduje się niejaki Lambertin, właściciel pięknej, lecz nieznanej jeszcze dyrektorowi małżonki. Pensya Lambertina jest bardzo skromną, bo natura giętkim karkiem go nie obdarzyła, a małżonkę ma dla siebie, nie dla dyrektora. Na nic się nie zdają namowy teściowej, przepysznej ekskabalarki, na nic łzy, wyrzuty i nawet pioruny, — on nie chce nikogo prosić o protekcyę, a na myśl, by żona jego miała się znaleść w gabinecie pana dyrektora, krew mu uderza do głowy. Na szczęście zjawia się na scenie Zuzanna, druga córka ekskabalarki, urocza i sprytna wdówka. Dowiedziawszy się o słabościach pana de la Marre i o wakującej posadzie podprefekta, postanawia wtargnąć do jaskini lwa i przedstawiwszy mu się jako pani Lambertin, zdobyć dla szwagra nominacyę. Sprytna kobietka ufa swym wdziękom i swej równowadze.

Rozpoczyna się akt drugi, najlepszy w całej sztuce, żywy i błyskotliwy, pełen dowcipnych pomysłów i, mimo drażliwych sytuacyi, nie przekraczający nigdzie granic dobrego smaku. Pan dyrektor przyjmuje. Najpierw zjawia się stara ekskabalarka — i nie zdziwiła się publiczność wcale, że babinka wyszła bez szwanku, lubo w chiromantycznych zachwytach podziwiała linje Wenery na dłoni p. de la Marre. Potem lokaj purytanin z kwaśną miną anonsuje panią Lambertin. Wchodzi Zuzanna. Sytuacya staje się groźną. Co to będzie, co to będzie? Otóż proszę się nie rumienić, nic nie będzie. Pan dyrektor jest olśniony, lecz po raz pierwszy w życiu uczuwa, że oprócz zmysłów, posiada także bijące serce. Zuzanna osięga wszystko, nie dawszy niczego, prócz koniuszka palców i obietnicy, że wróci niebawem.

W akcie trzecim Lambertin jest już podprefektem, a teściowa jego w blaskach nowego urzędu huczy i burmistrzuje aż miło. Pan podprefekt nie wie o niczem i czuje się bezgranicznie szczęśliwym, ale jego piękna żona i jeszcze piękniejsza Zuzanna drżą bezustannie, że nie dziś, to jutro pan de la Marre odkryje oszustwo. A nuż przyjedzie? Dzwonek za sceną. Przyjeżdża. — Rozpoczyna się interesujące „Qui pro quo“. Humor trzaska jak rakieta i oczywiście wszystko się kończy małżeństwem, — już nie w gabinecie pana dyrektora, lecz na cywilnym urzędzie. Piękna Zuzanna zostaje panią de la Marre.

Przepyszna farsa! a jak mówi Sarcey „L e v a u d e v i l l e a b i e n s o n p r i x, q u a n d i l e s t b o n.“ Opowiedziałem tylko szkielet, lecz trzeba widzieć ciało, to francuzkie ciało, aby należycie ocenić wszystkie zalety utworu. Jakiż to humor bije np. z owej sytuacyi, gdy Zuzanna uciekając przed natarczywem dyrektorem, siada na dzwonkach elektrycznych i całe biuro staje do apelu. Albo ta scena III aktu, gdy Lambertin nie mając pojęcia, że p. de la Marre uważa Zuzannę za żonę jego, zachwala mu jej wdzięki i zapewnia, że gdyby „pan dyrektor“ chciał się zbliżyć, to liczyć może na pomoc podprefekta. Może tu i owdzie struna jest nadto przeciągnięta, tu i owdzie splątanie nici nadto sztuczne, ale jako całość jest „Pan dyrektor“ niewątpliwie jedną z najlepszych krotochwil, jakie teatr poznański w ostatnich latach wystawił. Intryga zręczna, akcya pędzi galopem, scena zmienia się bezustannie, satyra uśmiecha się dyskretnie, dowcip musuje jak szampan, ludzie trącą

karykaturą, lecz żyją, — jednem słowem, tylko Francuzi tak farsy pisać umieją.

Wystawa sztuki i wykonanie przynoszą zaszczyt reżyseryi. Urządzenie sceny odznaczało się stylem i elegancyą. Nie brakło nawet portretu Faure'a, — szkoda tylko, że biust republiki zakrawał raczej na klasyczną Dianę.

Z artystów wyróżnił się w tytułowej roli grą wytworną, lubo za zimną chwilami, p. Knapczyński, a prawdziwą niespodziankę zgotował nam p. Tarasiewicz w roli Lambertina. Młody ten kochanek dramatyczny odtworzył po raz pierwszy postać charakterystyczną i objawił w tym kierunku sporo inteligencyi i sporo talentu. Pani Zalewska przekonała nas, że w ramach lekkiej komedyi stać się może użyteczną siłą. Jej Zuzannie brakło tu i owdzie nadsekwańskiej pianki i nie wszędzie zdołała artystka należycie wyzyskać sytuacye sztuki, lecz gra jej miała dużo swobody, elegancyi i umiarkowanej, może nadto umiarkowanej kokieteryi. Z innych osób występujących w „Panu Dyrektorze“ zasługuje na szczególne wyróżnienie p. Olszewski, który w roli kwaśnego tetryka i amatora cudzych obiadów Bouqueta wywoływał bezustanne wybuchy wesołości grą wyrazistą i okraszoną naturalnym humorem. Pan Olszewski umie się zmieniać, umie indywidualizować postacie swoje — to rara avis na poznańskiej scenie. Wreszcie zapisujemy tu wyrazy uznania dla pani Królikowskiej, pełnej energii i brawury teściowej — ekskabularki, oraz dla p. Berskiego, który wdzięczną rolą lokaja-moralisty szczerze ubawił publiczność.

* * *

Na „Mazepie“ loże i krzesła świeciły pustkami. Artystyczna publiczność poznańska poczytywałaby sobie za zbytek opłacać taką „starzyznę“. I nie skusiło jej to nawet, że rola wojewody spoczywała w rękach Rygera. Któżby tam chodził do teatru dla znakomitego artysty, dla brylantowych rymów Słowackiego, — u nas ceni się tylko fabułę, a sztuka raz widziana nie nęci „Ateńczyków“ poznańskich.

Na niedzielnem przedstawieniu dopisały tylko wyżyny, — te wyżyny, które najdramatyczniejsze sceny witają śmiechem głupim i brutalnym. Na „Mazepie“ było tak wesoło w teatrze, jak w sobotę na „Panu dyrektorze.“

Proszę mnie tylko fałszywie nie zrozumieć. To wina publiczności, nie wina aktorów; artyści z małemi wyjątkami sztuki nie popsuli. Jedna Amelja w interpretacyi panny Tańskiej wywarła niekorzystne wrażenie, a chwilami nawet fałszywą deklamacyą niesmak budziła. Dla Amelii nie ma chwilowo artystki na poznańskiej scenie. Panna Tańska jest z nieodpowiednich najodpowiedniejszą, ale talent tej artystki jest nieco posępny, oczy nie mają łagodności, głos ma dużo metalu, lecz nie ma słodyczy, — to raczej Balladyna była, niż Amelia.

Za to wojewoda pana Rygera pozostał tą samą świetną kreacyą, którą podziwialiśmy przed kilku laty, gdy jako gość wystąpił na poznańskiej scenie. Wojewoda w Mazepie jest jedną z najlepszych ról w repertuarze p. Rygera, ma on straszną grozę, ma pioruny w głosie i zemstę wściekłą, która z obłędem graniczy. A zważyć należy, że Ryger grał wczoraj na własnej scenie, w własnem otoczeniu, i dla tego gra jego była jeszcze równiejszą, niż wtedy, gdy na gościnnych bawił tu występach.

Pan Tarasiewicz w roli Zbigniewa ślicznie deklamował i mimo niekorzystnych warunków zewnętrznych, był chmurnym, nieco tajemniczym, prawdziwie Byronowskim typem. Mazepa w interpretayyi pana Prochaski trącił nieco zwierciadłem i miał chwilami głos sztucznie ułożony, ale artysta zrozumiał swoją rolę, dobrze mówił wierszem i zdobywał się na prawdziwie dramatyczne akcenty. Jana Kaźmierza odtworzył p. Jakubowski w stylu i bez szarży, a w maleńkiej roli wojewodziny p. Audran uderzyła w ton właściwy i właściwą znalazła mimikę.

W. R.

TO I OWO.

List Bojki do Rewakowicza.

Z mnóstwa telegramów i listów, które w czterdziestą rocznicę rozpoczęcia służby dziennikarskiej otrzymał Henryk Rewakowicy, redaktor „Kuryera Lwowskiego“ podajemy poniżej pismo Jakóba Bojki, tego włościanina galicyjskiego i posła do sejmu, który w ubiegłym roku gościł w Poznaniu i tak miłe po sobie zostawił wspomnienie. Oto list jego:

Panie Redaktorze! Dziś mija 40 lat, jak i Ty począłeś orać zagon ojczystej niwy, nie pługiem wprawdzie, ale piórem. Odłogiem podówczas leżała nasza rola w tym kierunku, w którym ją począłeś uprawiać, a uprawiać w czasach takich, w których reakcya święciła gody weselne i za lada cieplejsze słówko wtrącała za kraty więzienne. Czterdzieści lat pismami Twemi, pełnemi najczystszej miłości dla kraju ojczystego, stajesz, Bracie Rodaku, po stronie pokrzywdzonych, gnębionych, nieszczęśliwych i słabszych. Zbożna to droga, ale ciernista, krzyżowa i niepopłatna. I gdy redaktorzy pism konserwatywnych, króciej pracując, a raczej schlebiając możnym, mają dziś pyszne kamienice, to Ty, służąc uczciwej sprawie, służąc słabszym i pokrzywdzonym, możesz po 40-letniej pracy tylko chyba za Karpińskim powtórzyć:

„W tym zamiarze praca mię całe życie tłoczy,
Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy,
Co mi książki oddały? Jak niewdzięczna niwa,
Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa,
Po wieku mego wiosny nie wróconej szkodzie;
Nachylony ku ziemi zostałem... o głodzie.

Nie zważając na nic i na nikogo, stoisz z młodzieńczym zapałem i wytrwałością przy swym prawdziwie demokratycznym sztandarze, który może wielu z Twych kolegów już dawno opuściło sromotnie a stajesz w obronie i nas biednych, bo ciemnych po większej części włościan.

Niechżeż za to wolno będzie dzisiaj i mnie, ubogiemu włościaninowi i posłowi tego serdecznego ludu polskiego, złożyć Wam serdeczne podziękowanie. Bóg Wam zapłać, ojcze Henryku, za tę Waszą czterdziestoletnią pracę w tym kierunku, stokrotnie Wam Bóg wielki zapłać!

Żyjcie z Bogiem jak najdłużej i druzgoccie swą maczugą niesumienne potwarze i niesłuszne uprzedzenia jurgeltników pism konserwatywnych do włościan polskich, dopóty, dopóki nie uznają w nas swych braci, którym się także trochę szczęścia na tej polskiej ziemi należy. A wierzcie, że runą pyszne kamienice płatnych pismaków, łaski możnych miną, a cześć poczciwego człeka pójdzie od wieka do wieka. Gręboszów 1go listopada 1896. Z szacunkiem i wdzięcznością *Jakób Bojko*, włościanin i poseł sejmowy“.

* * *

„Made in Germany.“

Jeden z najznakomitszych angielskich mężów stanu, Lord Rosebery poświęcił część swej mowy w Epsona małej książeczce p. F. Williamsa, niemal artykułowi czasopisma, mającemu tytuł „made in Germany“ (zrobiono w Niemczech). Angielskie i francuskie pisma powtarzają i komentują jej treść, która jest ani mniej, ani więcej, jak wykazaniem zdobyczy, poczynionych przez przemysł niemiecki na targach, dotychczas zaopatrywanych przez fabryki angielskie, a częścią i francuskie. Zdobycze te mają być wielkie, przedstawienie ich dosadne, tak, że nawoływanie swych ziomków przez autora do zastanowienia się i zaradzenia grożącej już angielskiemu przemysłowi ruinie, głęboko zrobiło wrażenie.

Statystyczne daty od r. 1872 wykazują znaczne zmniejszenie wywozu produktów angielskich do Rosyi, Niemiec, Japonii, Egiptu, Grecyi, Serbii, nawet Półwyspu bałkańskiego, a jednoczesny wzrost wywozu produktów niemieckich do tych samych krajów: taki sam stosunek czy raczej zmiana zachodzić ma obecnie w handlu z południową i północną Ameryką, a nawet z koloniami angielskiemi obu półkuli! Od r. 1891 do samej nawet Anglii zaczynają Niemcy sprzedawać swe wyroby żelazne. Fakt jest tak dalece prawdziwy i doniosły, że go zapisują już agenci rządowi angielscy w swych urzędowych sprawozdaniach, i w rozpoczętej przed laty dwudziestu walce o supremacyę w handlu i przemyśle szala przechylać się ma wyraźnie na stronę Niemiec; Anglii grozi ruina.

Jak się to stać mogło, a raczej jak się stało? Tłumaczenie jasne, sposób zwycięztwa wyraźny, miał też nieraz być wskazywany angielskim przemysłowcom. Niemcy uczyły się od innych narodów, uczyły się wszędzie i wszystkiego, co stanowi siłę w przemyśle — i całe rzuciły się do tej walki.

Stworzyły sobie pod kierunkiem rządu dobre szkoły przemysłowe i handlowe, wykształciły robotnika, równego innym robotnikom, subjekta handlowego starannego i zapobiegliwego, kupca i przemysłowca pracowitego i uważniejszego na potrzeby klientów, nareszcie najpilniejszego urzędnika, który nigdy nie zapomina o przysporzeniu klientów i zbytu swoim rodakom. Tą siłą całego społeczeństwa wyciskały Niemcy powoli Anglików i Francuzów z zajmowanych przez nich targów i dziś są bliscy pierwszeństwa.

P. Williams mówi dosłownie, że Anglia już utraciła swe wyjątkowe położenie niezaprzeczonego pierwszeństwa w świecie przemysłowym, i że nie ma nawet nadziei, by je odzyskała; chodzi mu tylko o to, żeby nie tracić dalej, żeby zło się nie zwiększało. Francuski autor (p. Ervede Bazine) obawia się, by wystawa r. 1900 nie zaznaczyła nowych postępów przemysłu niemieckiego, nowych zwycięstw nad francuskiemi wyrobami.

* * *

Wystąpienie Sienkiewicza z komitetu Mickiewiczowskiego.

O wystąpieniu Sienkiewicza z komitetu Mickiewiczowskiego pisze „Kuryer Warszawski“. „Obradujący trzej członkowie tegoż komitetu postanowili rezygnacyi Sienkiewicza nie przyjąć i o samym fakcie rezygnacyi w przesłanym do dzienników komunikacie nie uczynili żadnej wzmianki. Wiadomo, iż sprawa pomnika krakowskiego załatwiana jest przez ćwierć wieku... po krakowsku, lecz ten sposób potraktowania doniosłej rezygnacyi Sienkiewicza nie byłby chyba użyty nawet w... Ryczywole“.

„Nowa Reforma“ pisze w tej sprawie: „Jest rzeczą wielce charakterystyczną, iż o wniesieniu rezygnacyi oraz o jej nieprzyję-

ciu urzędowy komunikat komitetu wcale nie wspomina. Jesteśmy wyrazem opinii publicznej w doniosłem znaczeniu tego słowa, zaznaczając, iż takie załatwienie, krótko mówiąc, ukrycie ważnego tego faktu, jest bardzo niewłaściwem i pozostawia pole domysłom tego rodzaju, jakich bezwarunkowo unikaćby należało. Sienkiewicz występujący z komitetu, nie jest panem N. lub X., którego obecność lub nieobecność w tymże komitecie może być całkiem obojętną. Jest on człowiekiem najgłośniejszego w komitecie, a w całej Polsce dobrze znanego nazwiska, zatem czysto formalne załatwienie jego rezygnacyi i ukrywanie tego faktu, gdyby nawet skutkiem próśb i perswazyi zechciał sam rezygnacyą cofnąć, nie może być właściwem i trafnem. Obchodzi to nietylko panów z komitetu, lecz całą Polskę — dwóch zdań na tym punkcie być nie może. komitet zatem spełni swój obowiązek, ogłaszając w tej sprawie, jaki jest istotny stan rzeczy".

Obecnie prezesem komitetu jest marszałek krajowy, hr. Stan. Badeni, który pozwolić nie powinien na to, aby jeszcze ciągle bawiono się w cinciubabkę.

* * *

Jak giną instytucye narodowe na emigracyi?

Pod tytułem tym, w drukarni G. Maurin w Paryżu, autor podpisujący się „A" wydał broszurę, oznaczoną cyfrą „1" a ogłoszoną w zamiarze przejrzenia historyi „całego szeregu emigracyjnych instytucyi polskich, zarówno już pogrzebanych jak do upadku kierowanych". Pierwsza ta broszura zajmuje się „Wyższą szkołą polską" przy bulw. Montparnasse 68 (80), założoną przez hotel Lambert w r. 1849, zamkniętą w 1872. Oskarża ona strasznie założycieli i kierowników, którymi, przy pomocy dobieranej przez nich rady szkolnej, byli prezesowie dożywotni: ks. Adam Czartoryski i po jego śmierci ks. Władysław. Dwa najważniejsze rozdziały noszą tytuły: „Dla czego szkołę założono?" i „Dla czego szkołę zamknięto?" Według autora pomysł założenia jej wynikł z potrzeby kształcenia stronników, którzyby użyć się dali na „rodzaj męskiej świty", stanowiącej „odmianę Szkoły panien Hotelu Lambert". Oskarżenie to nie wielką miałoby doniosłość wobec drugiego, zarzucającego sprzeniewierzenie grosza publicznego. Szkoła posiadała własny dom, zbudowany wedle podanego kosztorysu za 200 000 franków, na którą to kwotę z zapisu wojewody Wodzińskiego i ze składek wpłynęło 140 967 fr. Kwotę tę „winniśmy poczytywać — słowa autora — jako sumę na domu szkolnym ulokowaną przez społeczeństwo." Po zamknięciu szkoły dom ów sprzedany został jako prywatna ks. Wł. Czartoryskiego własność. Jak to się stać mogło? Spadkobiercy książąt Czartoryskich posiadają zapewne rachunki i dokumenty, któreby powinni ogłosić i oczyścić się z zarzutu, błąkającego się od r. 1872 na emigracyi a obciążającego pamięć ich ojca i dziada, którzy oprócz subsydjów rządu francuskiego, opłat szkolnych i składek na utrzymanie szkoły, nic z własnej nie łożyli kieszeni, mieli bowiem tyle, że po opędzeniu wydatków z roku na rok pozostawał raz większy, to znów mniejszy remanent. Autorowi broszury mamy do zarzucenia, że z tak ciężkiemi zarzutami wystąpił bezimiennie.

* * *

Testament Kaczkowskiego.

Gazety ogłosiły ostatnią wolę zmarłego powieściopisarza. Dziś już nie ulega wątpliwości, że „uniwersalną spadkobierczynią" całego majątku uczynił on swoją żonę, „panią de Pomian", tylko Towarzystwu historycznemu we Lwowie darował prawo wydawania swych dzieł oraz bibliotekę. Nie możemy bez żadnej podstawy sądzić charakteru wdowy, dla której mąż miał widocznie wiele szacunku i miłości, skoro nawet w dodatku do testamentu zaznacza, że bibliotekę przekazuje Towarzystwu „za łaskawem zezwoleniem żony", która zastrzegła sobie tylko jako pamiątkę książki francuskie. Kaczkowski prawdopodobnie czuł do ostatniej chwili dla „pani de Pomian"" głęboką wdzięczność za spędzone z nim życie i chciał na jej usługi oddać wszystkie środki materyalne, jakie posiadał. Ale chociaż trudno gwałcić ludzką wolę z miłości płynącą, trudno również nie dostrzedz w obecnym wypadku zupełnego zapomnienia o obowiązkach społecznych. Kaczkowski wiedział, że jego żona jest Francuzką, że pozostawionego majątku nie zużyje, że w całości lub znacznej części odda go po śmierci swym krewnym, a jednakże nie zobowiązał jej ani jednem słowem do najmniejszej ofiary na korzyść społeczeństwa, któremu zawdzięczał nietylko sławę, ale poniekąd i zamożność. Przecież procenty od paru milionów franków wystarczyłyby zupełnie żonie, a kapitał powinienby po jej śmierci przejść do tych, z którymi nieboszczyka łączyły ściślejsze węzły, niż ze spadkobiercami bezdzietnej pani de Pomian. Niestety Kaczkowski nie miał w swej duszy tej silnie napiętej struny, którąby mu przed zgonem zadźwięczała życzliwością dla rodaków. Z ogłoszonej świeżo jego korespondencyi wybija się bardzo mocno nadmierna pycha, samolubstwo i niechęć do tego otoczenia, w którem wyrósł i zyskał sławę. Zbyt wiele pamiętał o sobie i dla tego umierając, pamiętał tylko o tej, która była osłodą jego życia.

* * *

Leopoliana.

Lwów 1 listopada.

(Słówko o teatrze).

Na gmachu teatralnym hr. Skarbka czarna powiewała chorągiew. Znowu runęła jedna z kolumn, podpierających sztukę dramatyczną. Marceli Zboiński, znakomity artysta, przeniósł się do wieczności. Liczne tłumy odprowadziły zwłoki ulubieńca długoletniego Lwowskiej sceny na cmentarz. Nad grobem przemawiał Żelazowski, reżyser dramatu, i Kotarbiński Józef w imieniu kolegów krakowskiego teatru, który w prześlicznych słowach uwydatnił działalność ś. p. Zboinskiego na niwie sztuki dramatycznej.

Jak za czasów Szekspira, tak i teraz silną konkurencyą teatrowi tworzy „towarzystwo skoczków na linie", które zjechało do Lwowa na całą zimę pod „batem" pana Sidolego.

Teatr ratuje się dubeltowemi przedstawieniami trzy razy w tygodniu. W sobotę przedstawienie popularno-studenckie, w niedzielę ludowo-operetkowe, we czwartek zaś dramat odbywa wycieczkę do Przemyśla, a operetka wabi melomanów lwowskich ku sobie w teatrze Skarbka. Włóczy się tu polska sztuka jak Ahasverus i przytułku znaleść nie może. Publiczność nie czuje smaku w tym pokarmie. Grające psy, tańczące małpy, cielęta o dwóch głowach więcej przemawiają jej do duszy.

„Publiczność, to kapryśne dziecko" — mawiają aktorzy i mają słuszność, a krytyka nasza nie umie prowadzić tego dziecka na pasku swoich recenzyi w ten sposób, aby nie zatrzymywało się przed bramami cyrku, lecz wprost zdążało do przybytku sztuki narodowej. Trudno uwierzyć, ażeby w całej armii lwowskich recenzentów istniały rzeczywiście tak różne zdania o sztuce. Cały zastęp krytyków, każdy inaczej pojmuje opisyw any przedmiot, każdy narzuca swoje zdanie nie starając się poprzeć słów swoich dowodem, a nie jeden chwali lub gani wbrew własnemu przekonaniu, li tylko dla dogodzenia osobistym względom.

U nas niestety recenzenci (z małemi wyjątkami) przedewszystkiem uważają pióro swoje za dzidę, na którą bezkarnie nadziewać mogą wszelkie niesympatyczne dla siebie osobistości. Następnie pamiętają o tem gorliwie, ażeby popisać się własną erudycyą i szybują na skrzydłach frazeologii, przelewając z pustego w próżne, nie ucząc ani aktora ani publiczności.

Karol Libelt w estetyce swojej powiada, że nie ma formy bez treści, ni treści bez formy, a dalej, że ideałem treści jest prawda.

Tymczasem krytyka nasza stara się dowieść słów tych nieprawdziwość, podając ostatniemi czasy samą formę zwykle napełnioną sarkazmem, czasem zadziwiającą retorycznemi kozłami, często grzeszącą brakiem logiki, a zawsze bez istotnej treści i daleką od ideału prawdy.

Korespondent.

Na Wyłomie.

(Opalenica i skutki Hakatówki. — Pan Carnap w pismach humorystycznych. — Jaki zysk? — Słówko o inteligencyi naszej).

Wiecie, moi państwo, co to jest kociokwik? Po niemiecku zwie się to „Katzenjammer", a gdy wam taka według wszelkich prawideł logiki zbudowana definicya nie wystarcza, to udajcie się do Opalenicy i zapytajcie pana Carnapa. Jeżeli szczery, to wam odpowie: Spojrzyjcie na mnie. Oto jest kociokwik in persona. Opiłem się Hakatówki a teraz tęsknię za śledziem, żurem i natrum bicarbonicum.

Pan Carnap w czasie przesłuchów sądowych miał podobno cyniczny uśmiech na ustach, lecz w krzyżowym ogniu adwokatów uśmiech ten zamierał, twarz się wykrzywiała i wreszcie znikł za drzwiami amator Hakatówki, pozostawiając na placu boju natchnionych bardów swoich czynów rycerskich. Ach! jaka to szkoda, że Poznań nie posiada „Kladradacza" swego. Jakiż cudowny temat tkwi w tej Carnapiadzie! Proszę sobie wyobrazić taką ilustracyę: W głębi sala balowa, na froncie restauracya i dwóch poczciwych filistrów przy szklance monachijskiego. Do stołu zbliża się z dobytym mieczem pan Carnap. — Tytuł obrazka: Zaproszenie do tańca. — Dyalog. Carnap: Proszę natychmiast tańczyć. Piwosze: Wprzódy wypijemy piwo. Carnap: To brak subordynacyi. To bunt przeciw władzy! Jako pruski komisarz muszę rozpłatać wam głowy!

Możnaby jeszcze zamieścić drugi obrazek: We krwi własnej tarza się jeden z piwoszów, a pan Carnap obciera z flegmą komisarską szpadę i mówi:

Uratowałem honor przez krew tego franta,
Mój honor komisarza i honor lejtnanta.

Wprawdzie nie radziłbym panu humoryście uogólniać zbyt energicznie takich dowcipów, bo mógłby się dostać tam, gdzie się niebawem dostanie p. Carnap, tj. przed kratki sądowe. A nużby oskarżał go prokurator międzyrzecki, ten bardzo groźny pan? Jakich mąk dantejskiego piekła zażądałby dla satyryków oficersko-komisarskiej tężyzny, jeżeli dla ofiar tej tężyzny domagał się długich lat cuchthauzu, a następnie po otrzymaniu zimnego tuszu z ław sędziów przysięgłych dwóch lat więzienia. Tylko? To bardzo groźny pan!

Na szczęście sprawiedliwość zwyciężyła. Z dziewięciu oskarżonych sześciu z patentem niewinności opuściło salę, dwóch otrzymało drobne kary pieniężne, jeden jedyny trzy miesiące wieży. Teraz rozpoczął się kociokwik u całej zgrai Hakakystów. Tak się upili radością, że polską rewolucyą odkryli, tak się upili szałem nienawiści, — cóż więc dziwnego, że teraz oczy spuszczone na kwintę i morska choroba ich trapi. Co za cudowne zrządzenie? Zbudowali szubienicę dla polskiego społeczeństwa, a na szubienicy wisi dziś pan Carnap. Zbudowali pręgierz dla ludu polskiego, a pod pręgierzem stoi dziś ich brat, ich bohater, ich duma, — stoi pruski oficer i pruski komisarz. !

I jakże umilkła ta bezwstydna zgraja. Jeden tylko warknął, że krzywo przysięgli polscy świadkowie, inny swą tubą dziennikarską nic otrąbił nic, prócz wniosków prokuratora. Tak się maskuje przegraną. Czy to Sedan, jak powiedziała Germania? Czy to Waterloo Hakatystów?

Tak być powinno — finis. A jednak mówi mi jakieś głuche przeczucie, że owa ręka rządowa, która niedawno jeszcze błogosławiła z trybuny parlamentarnej robocie małych Bismarków zadrzy może, ale się nie cofnie. Wrzaski przycichną na chwilę, — lecz za godzinę znowu się podniosą. Lud toczyć będzie walkę śmiertelną i cierpieć będzie i krwawić, a gdy krew swoją zaniesie na stół redakcyjny „Kuryera", on okulary poprawi i z miną dyplomatyczną mu powie: „Sprawa jest w biegu. W dzień Zmartwychwstania Pańskiego rząd się nad tobą zmiłuje". Ha! Któż wiedzieć może, co tam w trawie piszczy. Ale społeczeństwo polskie tak często schylało się po to „coś piszczącego" i, zamiast kurczęcia, żmiję tylko znalazło, że obecnie już się nie schyla, już wierzyć przestaje.

I niechaj nikomu się nie zdaje, że ten sceptycyzm względem marzycieli ugodowych jest tylko lokalną chorobą w obozach „Orędownika" i „Postępu", — nie! ta niechęć i żal i bolesny cynizm bankruta ogarnia coraz szersze warstwy i dziś się znowu objawia w tem ogólnem szemraniu, którem w mieście i na prowincyi powitano wieści o przefarbowaniu „Dziennika" na barwę Kościelskiego. A jeżeli to szemranie pozostało dotychczas jedynie „dźwiękiem i jękiem", jeżeli inteligencya na ustach ma gorycz, lecz w protest czynny nie wkłada piołunu swego, to stwierdza tylko starą diagnozę, że w bilansie naszego życia publicznego rubryka odwagi cywilnej, zmysłu społecznego, energii i poświęcenia wykazuje spory deficyt. Idźcie w szeregi naszej inteligencyi, pytajcie po wsiach i miastach, czy wierzą w „Kuryera" i jego po krótkim rozwodzie powtórnie zaślubioną małżonkę „Dziennik Poznański", — chórem odpowie wam śmietanka umysłowa: „Kpisz? czy o drogę pytasz?" Lecz zażądajcie, by słowo w czyn zamieniono, zażądajcie od malkontentów, by ten protest objawił się w wielkim dzienniku konkurencyjnym, nowych posłach, silnej agitacyi, wtedy rozpocznie się jakieś ospałe namyślanie, jakieś spychanie „na innych", jakieś wykręcanie się sianem, — jednem słowem rejterada na całej linii, lub co najwyżej słomiany ogień, co błyska, strzela iskrami i ginie. Tak było dotychczas. Czy jednak wobec coraz wyraźniejszego lekceważenia opinii przez nasze wielkie organy i naszych sterników politycznych zawsze tak pozostanie? Polecam to raz jeszcze uwadze tych panów, którzy losami „Dziennika" kierują. Na rakietowych zapałach i ospalstwie inteligencyi naszej opieracie zuchwalstwo swoje, lecz gdy ją zbyt dotkliwie tašťać będziecie za brodę, ona się zbudzić gotowa i zapalić takiem ogniem, który was w popiół zamieni.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

B i b l i o t e k a z a p o m n i a n y c h p o e t ó w, prozaików polskich XVI — XVIII wieku wydawana przez prof. Teodora Wierzbowskiego. Zeszyt III – VI. Warszawa, wydanie z zapomogi Kasy im. Mianowskiego 1893 –1896 w 8ve.

Jeszcze przed dziesięciu laty rozpoczął był prof. W. to ciekawe i pożyteczne wydawnictwo, które obok wydawanej nakładem Akademji Umiejętności w Krakowie „Biblioteki pisarzów polskich" przyczyni się znakomicie do bliższego poznania i ocenienia piśmiennictwa polskiego zeszłych wieków. Po dłuższej przerwie w ostatnim czasie wydawca przedrukował trzy nowe dziełka, unikaty z bogatych w pierwszo-rzędne białe kruki zbiorów hr. Zygmunta Czarneckiego w Rusku zaczerpnięte, t. j. Andrzeja Zbylitowskiego poemat opisowy p. t. „Wieśniak", Stan. Orzechowskiego „Książki o ruszeniu ziemi polskiej przeciw Turkom", oraz broszurę polityczną z XVI wieku p. t. „Napomnienie polskie ku zgodzie do wszech chrześcianów wobec, a mianowicie ku Polakom uczynione". Najciekawsze ze wszystkich są przedrukowane z współczesnych druków i rękopisów (zachowanych w znacznej części w bibliotece Raczyńskich w Poznaniu) „Anny Memoraty, dziewicy polskiej" łacińskie wiersze z lat 1640—1644. Anna Memorata pochodziła z czeskiej rodziny Memoratów, której członkowie w rozmaitych okresach i miejscach Wielkopolski obowiązki duchowne przy kościołach Braci czeskich sprawowali. Mieszkała ona w Lesznie, (gdzie też kilka jej utworów wyszło drukiem), a na nie pozbawionych wdzięku i polotu płodach swej muzy podpisywała się „Anna Memorata, virgo polona".

Nadzwyczaj pożądanem i budzącem ciekawość jest zapowiedziane w dalszym ciągu wydanie Jana Seklucyana „Pieśni duchownych" (Królewiec 1547), Jakuba Lubelczyka „Wiridarza chrześcijańskiego" Kraków 1558 (którego jedyny znany dotąd egzemplarz w wrocławskiej bibliotece miejskiej się znajduje), Marcina Bielskiego „Komedyi Justyna i Konstancyi" (Kraków 1557, unikatu również ze zbiorów hr. Z. Czarneckiego). Pieśni kościelnych polskich XVI wieku (z wydań arkuszowych), zebranych z druków i rękopisów, Wierszy polityczno - satyrycznych i pamfletów z drugiej połowy XVI wieku, oraz Poezyi Jana Achacego Kmity, wreszcie niedrukowanych dotąd jeszcze broszur Stan. Orzechowskiego „O upadku Korony polskiej", Jerzego Radziwiłła, kardynała, Pamiętnika z lat 1556—1575, oraz ważnej i dla dziejów politycznych kraju broszury z 1572 roku zatytułowanej „Rozmowa Lecha z Piastem, napominająca swych obywatelow, jakiego pana mają sobie i królestwu temu obrać".

J. Wys.

* *

A d a N e g r i i K o n o p n i c k a. Wyszedł przed kilku laty zbiorek poezyi, zatytułowany „Fatalita", a niedawno temu drugi młodej poetki Ady Negri, która dziś szerokim cieszy się w Europie rozgłosem. Otóż młody esseista polski p. Ludwik Szczepański zestawia z Adą Negri naszą poetkę Maryę Konopnicką w swym felietonie pragskiej gazety „Politik", twierdząc, że obie są pokrewnemi sobie naturami, z tą wszakże różnicą, że pierwsza zrodzona w kraju słońca piękna i zmysłowości, płomienniejszą jest tam, gdzie głos krwi przemawia swobodnie i naturalnie; ton jej pieśni jest bez porównania namiętniejszym, zarówno czy wybucha miłością, czy nienawiścią.

Ada Negri jest prawdziwą córą swej ziemi, Konopnicka natomiast tam, gdzie jest czysto subjektywną, „uderza raczej w tęskną strunę melancholii i rezygnacyi." (?) — Jest to zdaniem sprawozdawcy, prawdziwa lutnia słowiańska. — W dalszym ciągu artykułu streszcza pokrótce p. Szczepański działalność naszej poetki, aby dać o niej wyobrażenie — podnosząc zwłaszcza to, że wszelki „helotyzm gniewem i szczerym bólem ją przejmuje". Jedynym zarzutem, jaki stawia polskiej poetce, jest zbytnia jej retoryczność tam, gdzie temat jest objektywnym, nieco za wiele sentymentalizmu w czysto osobistej liryce, oraz pewien powiew mistycyzmu. Z temi zarzutami, a przynajmniej z dwoma ostatniemi, niekażdy znający poezye Konopnickiej by się zgodził, ale od tego rodzaju artykułu zbyt wiele krytycyzmu wymagać nie można. Na co wszakże niepodobna się zgodzić z młodym esseistą, to na zapewnienie, że w chwili obecnej święcimy rozkwit poezyi, oraz na poszczególne jego sądy w tej mierze.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka**. Na scenie poznańskiej ukaże się dzisiaj po raz pierwszy czteroaktowy dramat Krzywdzica, p. t. „Odgrzewana miłość". Treść utworu osnuta jest na stosunkach polsko-rosyjskich. Główna rola kobieca spoczywa w rękach panny Tańskiej. — Warszawski teatr Rozmaitości wystawi niebawem nową sztukę Stanisława Kozłowskiego pt. „Turniej". Kozłowski jest, jak wiadomo, autorem głośnego swojego czasu „Alberta Wójta". — Jarecki napisał w trzech odsłonach operę na tle balady Mickiewicza „Powrót taty": rzecz przeniesiona na granicę galicyjsko-węgierską, w okolicę Worochty. — W teatrze Nowym w Lipsku przedstawiono poraz pierwszy nową sztukę p. t. „Odrodzenie" napisaną przez Franciszka Schönthana do spółki z p. Koppel - Ellfeld, byłym dramaturgiem teatru nadwornego w Dreznie, uwolnionym w swoim czasie ze służby za dowiedziony plagiat. Nowa ta spółka wywiązała się dobrze ze swego zadania, gdyż „Odrodzenie" doznało świetnego powodzenia, które nie ominie go na żadnej poważnej scenie. Sztuka ta ma tę wielką zaletę, że na kilka godzin wyrywa nas z prozaicznej teraźniejszości i przenosi do pięknych czasów renesansowych i na tem barwnem tle przedstawia nam szereg osób i wypadków, świetnie charakteryzujących ów wielki przełom w sztuce i życiu. Bohaterem sztuki jest 15-letni Vittorino, który wybrykami swemi, pełnemi poetycznej swawoli, oraz budzącem się w jego sercu uczuciem ku wszystkiemu, co jest prawdą i pięknem, świetnie odbija w sobie prądy ówczesne odradzającego się społeczeństwa. Komedya ta, będąca prawdziwą oazą poezyi na pustyni współczesnej twórczości teatralnej, zapowiedziana została na wszystkich większych scenach niemieckich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Erma**. Anonimów uwzględniać nie możemy.

— **T. T.** Wiadomość „Orędownika" jest prawdziwą. Rada Nadzorcza nie potwierdziła jednak dotychczas tej nominacyi. Czy ją potwierdzi, nie rozstrzygamy. Powinna dobrze się namyśleć.

— **Józef Kr.** Na początku listu radzi Szan. Pan, by usunąć dział powieściowy ze względu na szczupłe rozmiary pisma naszego, a w końcu mówi pan o potrzebie „zainteresowania naszych kobiet sensacyjną beletrystyką". Jesteśmy wdzięczni za każdą radę, ale prosimy uprzejmie formułować logicznie życzliwe wskazówki.

— **Sceptyk.** Za najlepsze apologie chrześcianstwa z katolickiego stanowiska uważamy dzieła Hettingera i Weissa. O ile nam się wydaje, polski przekład nie egzystuje.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.